

Bizony z Pensylwanii

Farma Dennisa to 240 akrów położonych wśród gór Północnej Pensylwanii

Sam nie wiem, czy mam się usprawiedliwiać z mojej dość długiej nieobecności na łamach naszego miesięcznika, bo nie mam pewności czyście za mną zbyt tęsknili. Gdyby, choć jeden z Was odczuł brak moich felietonów, pośpieszam z wyjaśnieniem, że... no właśnie, co? Po prostu życie! To najpiękniejsze z istnień pochtłania mnie całkowicie, przemieszczając z miejsca na miejsce, z kontynentu na kontynent.

Mariusz Marciniak

Piszę dla Was ten felieton patrząc przez okno na cudownie jesienną Polskę, bezlistną już, ale jednak złotą. I teraz to, nasza mnie chęć podzielenia się z Wami czymś naprawdę szczególnym. Doznaniem, którego „nabawiłem się” tej jesieni, będąc jeszcze po Waszej stronie Atlantyku. Zabrało mi trochę czasu przetrawienie tego tematu, żeby złapać dystans, żeby to wszystko przemyśleć, żeby przetrwać go w sobie. Teraz sprzyja temu ta złota polska jesień za oknem i to, że jak mówi o mnie nasza córeczka Krzysia – „Misiu śpiiii”, choć „Misiu” tak naprawdę tylko drzemie urlopowo i kontempluje minione miesiące. Smakuje PRZEŻYTE.

Były wiec Karaiby z ukochanym St. Marten, żeglowanie z najwspanialszą, bo z własną rodziną, po wysepkach południowej Florydy, włóczenie się z tą że po całym wschodnim wybrzeżu Stanów... „dużo by gadać”, jak to mawia jeden z największych kapitanów i mój przyjaciel Andrzej „Wuj” Plewik (aktualnie, gdzieś na oceanie, między Nową Zelandią a Japonią). A jednak najbardziej dominującym przeżyciem było spotkanie z człowiekiem, który jak nikt inny chyba powinien zagościć na łamach naszego „Zewu Natury”. Człowiekiem, który ze swojego życia uczynił rzeczą nadrzędną bycie z naturą, ze samym sobą, jako jej nierozłącznym elementem.

Pamiętacie? Kiedyś napisałem, że żeglowanie, włóczęga po świecie, to przede wszystkim poznawanie ludzi w tym świecie żyjącym. To jest największy kapitał, który ludzie wędrujący zbijają podróżując. Tym razem, rekapitulując znane przysłowie, że „najpiękniejsze czai się za rogiem”, poznałem kogoś fa-





scynującego nie wychodząc z domu. Sam do mnie przyszedł w osobie przyjaciela mojej przyjaciółki-siostrzycy (czyt. przybranej dobrowolnie siostry) Helenki Kwiatkowskiej, która na jakiś czas przytuliła moją zmęczoną głowę wędrowca na swojej farmie we Freehold. Tak poznałem Dennisa Notę.

Najpierw krótko o jego korzeniach, tak typowych dla „amerykańskiego tygla”. Mimo swojsko brzmiącego nazwiska, jest pół Włochem (ojciec), pół Węgrem (matka), urodzony Amerykanin. Bardzo Amerykanin, jak się o tym przekonacie za chwilę.

... Jedziemy z żoną tam, gdzie już dawno zawitała amerykańska jesień – jest połowa października. Jedziemy prawie 300 mil od Nowego Jorku i na dodatek kilometr w górę, do Montrose w Pensylwanii. Jedziemy ponaglani nerwowym głosem „światła oczu moich”, czyli mojej żony, bo Dennis zapraszając nas stwierdził, że prawdziwy mężczyzna (to niby ja?) tak naprawdę traci dziewictwo dopiero wtedy, gdy zje mięso bizona. Atka twierdzi, że to nie dotyczy tylko i wyłącznie mężczyzn. Nie wiem, co ma na myśli, po latach naszego małżeństwa, ale też mi jakoś tak spieszą. Bo my jedziemy do Dennisa „Buffalo-Mena”! Do jego matecznika, jego farmy bizonów. Jednej z niewielu w Stanach farmy tych królów prairii, monstrów straszących nas i podniecających naszą mleczną wyobraźnię, gdyśmy czytali książki Karola Maya. Tak też się trochę czujemy. Jak blade twarze. Dziewiце na dodatek.

Po pokonaniu gór siedmiu i takiej samej ilości lasów docieramy do farmy Dennisa Nate i jego królowy, pięknej Heleny. I tu bajka się kończy, a zaczyna przygoda, prawda rzeczywista. Obcowanie z człowiekiem, który



Autor (z prawej) w odwiedzinach u Dennisa



Dennis i jego bizony

fascynuje, i którego życiorys powinien w Hollywood wart być miliony.

Farma Dennisa to 240 akrów położonych, chciałoby się napisać grafomańsko-„malowniczo” – (ale co poradzę na to, że TAK WŁAŚNIE JEST!), wśród gór Północnej Pensylwanii. Lekko oszołomieni pejzażem, mieszczuchy, wpadamy wpięrow w „ramiona” znajomych nam już z farmy Helenki psów, napychanych przez nas parówkami, żeby móc przywitać się z gospodarzami. Cały czas wchłaniając w siebie, mroźne już, wiejskie powietrze. Ledwie co przybyli, poczęstowani prawie z progu przednim, dwudziestoletnim Porto, jedziemy na zwiedzanie. „Jedziemy” to duże słowo – podróżujemy pojazdem mocno wojskowym, używanym przez „marines” na plażach wszelkich wojen, które w imię wolności prowadziły Stany Zjednoczone. Bo inaczej nie dojedziesz! Zatrzymujemy się często, żeby napaść oczy tym, czego na co dzień nie uświadczymy za żadne skarby. O tym może innym razem, boć o Dennisie mam pisać przecież.

Wracamy do jego studwudziesięciosześcioletniego domu. Dennis zaczyna celebrować przyrządzanie bizoniej połówki, która peklowała się dwa dni, a która ma za chwilę trafić na rożen. Leniwy, trochę zmęczony wieczór ze szklaneczką Porto w dłoni... nasze kobiety zajęte w kuchni...

– Dennis, jak tu się znalazłeś i czemu? Czemu masz to, o czym tak wielu tylko marzy? Skąd to w Tobie? Co czujesz? Jak sobie z tym radzisz?

Same pytania. Pytania nieartykułowane. One są we mnie tylko. Nie śmiem natarczywie pytać – powoli same wypełnią się treścią.

– Tą farmę mam od Boga. Dzięki Niemu... – mięso bizonie skwierczy przypalonym tłuszczem, czerwone ogniki podświetlają nasze twarze, głosy naszych kobiet dochodzą z domu. Toczy się opowieść leniwa, aczkolwiek tak niezwykła. Ja to wszystko odbieram przez filtr swojego odczucia chwili, więc opowiadam, nie śmiem pisać w pierwszej osobie.

– Wiesz, chwilą przełomową w moim życiu było to, gdy tego samego dnia zmarł mój

ojciec i mój przyjaciel – oficer floty handlowej. To było w 1991 roku...

DENNIS NOTA tak naprawdę nie urodził się pięćdziesiąt sześć lat temu, ale właśnie tego dnia, tego pamiętnego dnia w 1991 roku. To nie znaczy, że do tego dnia był „zjadaczem chleba powszedniego”. Tak to się nigdy nie dzieje, choć rzadko zdajemy sobie z tego tak naprawdę sprawę. Trzeba mieć to „coś” w sobie od urodzenia. Trzeba być Dennisem, żeby za uzbierane ciężko pieniądze kupić bojowy samochód straży pożarnej po to, żeby móc jeździć nim w paradach po Perth Amboy. Trzeba być Dennisem Nota, żeby być aż takim Amerykaninem, żeby na własne życzenie służyć w Wietnamie rok dłużej, niż tego od niego wymagano. Jest sierżantem US Army. Moje pytanie na temat tej służby zamknął stwierdzeniem – „o tym akurat mówić nie chcę”. I to właśnie jest Dennis. Dennis, który woli z pasją w oczach opowiadać o swoich polowaniach w Afryce – jak uczył Afrykanerów i towarzyszy polowań w Afryce po polsku wyjadać chlebem tłuszcz ze słu-

żącego za patelnie starego lemiesza pługu – o tym, że był doskonały w strzelaniu do rzutek, że bywało pijał tego.

Do momentu tego przełomowego dnia w jego życiu. A także tego momentu, kiedy wzywano do niego trzy razy księdza, gdy umierał na zapalenie opon mózgowych. Zresztą zawsze trudnym jest odnalezienie tej granicy, kiedy coś w nas samych się zmienia, kiedy nasze życie wycieka z koryta rzeki, którą płynęliśmy dotąd i tama kieruje nasz los w koryto nowe i dotąd nam nieznane.

Po tym wszystkim Dennis przemienił się z człowieka głodnego życia, postrzegającego świat jak człowiek renesansu, jak człowiek biorący życie pełnymi garściami, w człowieka szukającego samego siebie, żyjącego „do wewnątrz”. Spieniężył wszystko, co posiadał i czytając ogłoszenia w codziennych gazetach, począł szukać swojego matecznika, powrotu do siebie samego. Nie wiedział, czego tak naprawdę szuka, ale ośwładnęła nim chęć POSIADANIA. Posiadania ostoi, posiadania kawałka zapomnianej, zagubionej w codziennym życiu więzi z ziemią, więzi z życiem zgodnym z naturą.

Jak to zwykle bywa w naszym życiu, zupełnie przypadkiem, natknął się na ogłoszenie o farmie do sprzedania, która w tym momencie przekraczała zarówno jego możliwości finansowe, jak i własne oczekiwania. Jak zwykle, mimo piętrzących się przeciwności dopiął swego. Jest to jednak temat na zupełnie odrębne opowiadanie. Ważne jest to, że teraz siedzimy w tym jego mateczniku, pieczemy bawolą polędwicę i możemy słuchać, patrzeć i chłonąć opowieść człowieka spełnionego. Zazdroszczę mu, podziwiam i tak bardzo naturalnie jestem z nim. Patrzę jak ŻYJE. Jak żyje? Streszcza to zwięźle – „jak zaistnieje taka potrzeba, to stoję i sikam. Moja toaleta ma 240 akrów”. Była to odpowiedź, na pytanie Atki, gdzie można by tu... gdyśmy stali na podwórku jego domostwa podziwiając zachód słońca. I nie była to poza „naturszczyka-bufona”, ale rzecz tak oczywista, a jednocześnie dla nas, miastowych, mogłaby być szokująca, żeby nie była ona w ustach Dennisa tak prawdziwa, naturalna. Wydaje mi się, że w tym momencie wszyscy, choć trochę, zrozumieliśmy to, czego domyślaliśmy się tylko, chcąc zrozumieć, co on chce nam przekazać, opowiedzieć o swoim życiu, spełnionych dążeniach, marzeniach.

To były tylko dwa dni. Dwa dni spędzone wśród stada dwudziestu dwóch bizonów i sześciu koni, które budziły mnie nocą panosząc się w stajni nieskrępowane zamkniętymi drzwiami, wracając pod dach, kiedy im się tylko chciało i wybiegając w dzikim galopie, kiedy im to wpadło do ich końskiego łba. I jeden wieczór, kiedy Dennis po naszym „stra-

ceniu dziewictwa” bizonią polędwicą, długo jeszcze w noc opowiadał nam o tym, jak szef jego bizoniego stada zadeptał na śmierć swojego syna, gdy ten dobierał się do jednej z jego (bizona!) żon, bo to wbrew prawom rodziny i prawom prerii, o tym jak stado samic bizonich otacza czułą opieką matkę, która straciła swoje dziecko, o tym, jak z miłością i humanitaryzmem zabija te sztuki, które zabite być muszą, dla dobra reszty stada. W końcu o tym, jak cudem tylko przeżył – ma to chyba sobie przypisane, przez Tego, który według jego wiary, tą farmę mu подарował – gdy jeden z kilkotonowych samców zaatakował go w czasie karmienia, przebijając mu rogami udo o milimetry od tętnicy pachwinowej i po wyrzuceniu go w górę na kilka metrów maltretował go potem łbem już na ziemi i jak ranę zaklejał potem „crazy glue” ja-



Dennis wybiera się na polowanie

dując na ważne dla niego spotkanie harlejowców. O tym, że bardzo by chciał w końcu wytyczyć dokładnie granice swojej farmy i dla tego kupić odbiornik satelitarnej nawigacji.

Tego wieczoru, jedynego naszego wieczoru, siedzieliśmy w kuchni. W pokoju obok, nad drzwiami drzemał łeb ogromnego dzika, patrząc z iskrą niezadowolenia w oku na przeciwległą ścianę, gdzie wygięte w pałąk czterometrowe, spreparowane cielsko marlina zamarło na wieczność.

Odjeżdżając następnego ranka patrzemy na Helenę w dennisowych džinsach, owiniętą jego paskiem dwa razy wokół talii, na Dennisa obejmującego ją ramieniem. Na dwa, siłą tych dwojga spokrewnione, cudowne psy. Wdrapujemy się gliniastą drogą na wzgórze i jeszcze na chwilę zatrzymujemy samochód, żeby popatrzeć jeszcze raz na późnojesienne wzgórze otaczające farmę. Ich farmę. A tak naprawdę, żeby samym sobie powiedzieć, że życie może być tak piękne i zależy to tylko od nas samych.

Jedziemy do domu milcząc dłuższy czas. Mamy w sobie jakiś dziwny żal...nie jest to jeszcze nostalgia, ale jakiś niespełniony smutek. Milczenie przerywa żona – „nie możemy mieć wszystkiego na raz. Ty masz, my mamy, nasze morze.”

Tak, jak zwykle ma racje.

I to bycie na Dennisa i Helenki farmie i ta nasza tęsknota do morza, do oceanu, do spełnienia, ma w sobie jedną wspólną cechę – zawsze budzi w sercu jakiś dziwny żal...

Wiem, że to zaledwie „liźnięcie tematu”, że brak w tym felietonie „głębi”, rozwinięcia, pokazania podszewki. Ale jak przekazać w czterech, pięciu tysiącach, przeznaczonych mi przez wydawcę, znaków drukarskich TAKIE ludzkie życie? Popatrzcie na zdjęcia i poczekajcie cierpliwie, tak jak ja czekam, na następne spotkania z Dennisem. Napiszę jeszcze o nim, poproszę o zgodę na to, żebyście i Wy mogli spotkać się z nim osobiście.

Przecież czytacie moje pisanie w miesięczniku „ZEW NATURY”...

Wasz dziwnie i nostalgicznie nastrojony
Kapitan Mario

P.S. Ponieważ zakłócałoby to harmonię opowiadania, nie podzieliłem się z Wami odpowiedzią Dennisa na nurtujące mnie pytanie, co stało się z tym bizonem, który go zaatakował, a oczywiście zadałem mu je wiedziony niezdrowym sensacjonalizmem. Odpowiedź była godna tego, co usłyszałem o jego „łazience” i co uzmysłowiło mi prawdziwość bycia z naturą i atawistyczny sposób posiadania – poszedł do McDonald's.



Helena i Dennis



Od lewej: Dennis, Mariusz Marciniak, „Cora” i Aneta na farmie.